

Joanna Brzenczka

studentka filologii polskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego

U Kasprowicza

Harenda, ostatni dom Jana Kasprowicza, ma piękną werandę, z której widać kilka tatrzańskich szczytów oraz słycać szum górskiego potoku. To świetny punkt obserwacyjny. Można tam usiąść na drewnianej ławie i przyglądać się otoczeniu – zerknąć przez okna do wnętrza domu czy też oddać się kontemplacji natury. W tym miejscu ma się wrażenie, że podróż do przeszłości, wbrew prawom fizyki, jest możliwa.

Byłam na Harendzie dwukrotnie – niedawno wraz ze znajomymi z Koła Naukowego Młodej Polski i modernizmu oraz po raz pierwszy na wycieczce szkolnej w liceum. To właśnie będąc tam ostatnim razem, przypomniałam sobie o „tamtej dziewczynie”, świeżo upieczonej licealstce, która idąc do I Liceum Ogólnokształcącego w Raciborzu, miała nikłe pojęcie o tym, kim był patron tej szkoły. Można powiedzieć, że to na Harendzie zaczęła się jej znajomość z Kasprowiczem.

Bardzo dobrze pamiętam wyjazd integracyjny do Poronina w październiku w pierwszej klasie liceum. Tam przez kilka dni mogłam intensywnie przyglądać się nowym koleżankom i kolegom, spróbować zmienić się z gimnazjalistki w licealstkę. Podobał mi się ten „awans edukacyjny” – liceum, to już była poważna sprawa, a ja chciałam być bardziej dorosła.

Już po szkole podstawowej wiedziałam, że chciałabym pójść do I LO. Chodziłam do Gimnazjum nr 1, które także mieściło się przy ulicy Kasprowicza, więc nieraz mogłam z okien szkoły spoglądać na ceglany budynek liceum. Kiedy po egzaminie gimnazjalnym musiałam zdecydować, do jakiej klasy chciałabym się zapisać, ostatecznie wybrałam klasę językową a nie humanistyczną, która być może byłaby dla mnie (miłośniczki literatury) bardziej oczywistym wyborem. Jednak chciałam postawić sobie wyzwanie: nauczyć się lepiej angielskiego. Klasa językowa miała być do tego doskonałą motywacją (i oj była, i to bardzo!). Wychowawczynią naszej klasy została pani Urszula Majewska, nauczycielka geografii.

Jeszcze zanim oddam się w pełni wspomnieniom, muszę zrobić dygresję o samej strukturze tego tekstu. Postanowiłam, że podzielę te wspomnienia na mniejsze części. Każda poświęcona będzie innemu zagadnieniu, nauczycielowi. Myślę, że w ten sposób oddam lepiej charakter wspomnieniom, które czasem do nas przychodzą. W końcu wspomnienia są jak takie skrawki przeszłości, wywołują je z pamięci różne przedmioty (jak Proustowska magdalenka), osoby czy zdarzenia, ale nigdy nie rodzą się one w całości według

chronologicznego porządku, powstają raczej w epizodach. Co więcej te „skrawki przeszłości” to nie tylko minione chwile, to bardziej palimpsest nakładającej się na siebie przeszłości i terażniejszości. Wspomniana „tamta dziewczyna” (uprzejmie pożyczam frazę od Annie Ernaux), która pierwszy raz odwiedziła Harendę, jest stale rekonstruowana i interpretowana przeze mnie obecną.

Małe ikonki z inicjałami zamiast uśmiechów

O tym, że rząd zdecydował się na zamknięcie szkół, dowiedziałam się na lekcji chemii, kiedy pisałam sprawdzian. Na początku nie mogłam w to uwierzyć, pandemia wydawała się czymś abstrakcyjnym – czymś, o czym czyta się w podręczniku z historii, a nie przeżywa naprawdę. Jednak kryzys epidemiologiczny stał się naszą nową codziennością, zostaliśmy zamknięci w domach na wiele miesięcy.

Niejeden dorosły okres spędzony w liceum nazywa „najlepszym czasem w życiu”. Ja właśnie ten czas przeżyłam w dużej mierze za zamkniętymi drzwiami mojego pokoju. Wszystkie lekcje zostały przeniesione do sfery wirtualnej. Początkowo uczyliśmy się głównie sami, wykonując przygotowane przez nauczycieli zadania, później za pośrednictwem Google Classroom łączyliśmy się na lekcje zdalne według planu zajęć. W tym czasie utrzymywałam bliższy kontakt tylko z kilkoma koleżankami, pozostałą część klasy znałam głównie z małych ikonek z inicjałami, które wyświetlały się podczas lekcji online. Być może właśnie dlatego z wieloma osobami z klasy przez wszystkie lata liceum zamieniłam tylko parę słów.

Wbrew temu, że zdalne nauczanie zabrało znaczącą część mojej nauki w liceum, to wspominając ten czas, bardzo rzadko myślę właśnie o tym okresie. Dla mnie I LO to jednak nie żadne ikonki z inicjałami widziane na ekranie komputera, a bezpośrednie spotkania z nauczycielami, kolegami i koleżankami w szkolnej klasie; to po prostu silne przekonanie, że jestem częścią tej społeczności, że tu i teraz, żywa i obecna należę do „Kasprowicza”, a „Kasprowicz” do mnie.

Pochwały cenniejsze od diamentów

Tak jak napisałam, wychowawczynią naszej klasy językowej była pani Urszula Majewska. Panią Majewską zapamiętałam nie jako nauczycielkę geografii (przez to, że nie rozszerzałam tego przedmiotu, miałam z niego niewiele lekcji), ale jako właśnie naszą wychowawczynię. A pani Majewska była niezwykłą wychowawczynią, dlatego że potrafiła dostrzec i docenić każdego ucznia z naszej klasy. Jednak pochwały, które się otrzymywało, nigdy nie były bezpodstawne czy rzucane na wiatr. Nie, każde słowo pani Majewskiej miało znaczenie, było odpowiednio (tzn. elokwentnie i z klasą) sformułowane i wypowiedziane we właściwym momencie.

Przez trzy lata pani Majewska potrafiła dodać nam skrzydeł. Wielu z nas było niepewnych siebie, swojej przyszłości, więc naprawdę potrzebowaliśmy tych skrzydeł, by wzbić się do lotu. Pochwały pani Majewskiej były cenniejsze od diamentów.

Pod czujnym okiem noblistki

Dobrze pamiętam jej oczy. Były duże i patrzyły zachłannie przed siebie, jakby tym spojrzeniem chciały poznać wszystkie warstwy rzeczywistości. Mówię o oczach Olgi Tokarczuk, które były wyeksponowane w sali 21, kiedy miałam tam zajęcia z języka polskiego. Za biurkiem nauczyciela wisiał dużych rozmiarów plakat noblistki, na którym to właśnie jej oczy przykuwały największą uwagę. Można powiedzieć, że wszystkie lekcje z historii literatury odbywały się tam pod czujnym spojrzeniem Tokarczuk.

Naszą przewodniczką po świecie literatury była przez dwa lata pani Joanna Gizowska-Kurek. Zrealizowanie podstawy programowej z polskiego w liceum nie jest łatwe ani dla uczniów, ani dla nauczyciela. Bowiem od ucznia wymaga się, że krytycznie przeczyta najważniejsze teksty z historii literatury (zwłaszcza polskiej), a od nauczyciela, że będzie potrafił w interesujący sposób przedstawić coś, co niejednokrotnie pokryte jest grubą warstwą kurzu. Pani Gizowskiej-Kurek udało się zrealizować to zadanie – czytałam klasyków z uwagą, a lekcje były dla mnie ciekawą przygodą intelektualną. Pani Gizowska-Kurek potrafiła nie tylko zarazić uczniów pasją do poznawania dzieł kultury, ale była także dla nas (na pewno dla mnie) inspirującą osobą. Podziwiałam (i wciąż podziwiam) niezwykłą siłę pani Gizowskiej-Kurek i jej radość z życia. Od samego początku od pani Gizowskiej-Kurek biło niesamowite ciepło oraz godna podziwu otwartość na drugiego człowieka. Czasami nasze lekcje literatury, choć pełne różnych środków stylistycznych, interpretacji, były tak naprawdę lekcjami o życiu - o tym, co jest w nim najważniejsze.

W opozycji

W klasie maturalnej lekcje polskiego w naszej klasie prowadził pan Leszek Radaj. Pamiętam, że na jednych z zajęć rozmawialiśmy o *Nocach i dniach*. Głośno krytykowałam postawę Barbary Niechcic, która z niczego w życiu nie potrafiła być zadowolona, zawsze coś (albo ktoś, jak Bogumił) musiało pójść nie po jej myśli, przez co była wiecznie nieszczęśliwa. Uważałam, że w ten sposób bohaterka sama się zadręcza i tym samym marnuje swoją okazję do bycia szczęśliwą. Na cały mój wywód pan Radaj powiedział tylko jedno zdanie, że właśnie to jest w tym dziele najpiękniejsze, że Barbara była taka nieszczęśliwa... Słowem, pan Radaj docenił dramat powieści, tragizm myślenia bohaterki, a ja z tych samych powodów ją skrytykowałam.

Pan Radaj często zachęcał nas, żebyśmy się z nim nie zgadzali. Powtarzał, że musimy być w stosunku do niego w opozycji. I ja byłam. Przez cały rok dyskutowałam (jak wyżej o *Nocach i dniach*), bardzo dużo gadałam („Co tam bręczysz Brzenczka” zdarzało mi się usłyszeć) i chociaż nie jestem pewna jaką konkluzją zakończyły się te wszystkie literackie dysputy, to jednak wiem na pewno, że zajęcia z polskiego w ostatniej klasie były dla mnie piękną lekcją krytycznego myślenia.

Klasa językowa w krainie czarów

„Krainą czarów” dla naszej klasy o profilu językowym, która szczególnie lubiła język polski, była oczywiście matematyka. Chyba nie tylko ja do dzisiaj nie rozumiem, po co nam są w życiu logarytmy... Jednak wiem doskonale, że nigdy nie zrozumielibyśmy logiki panującej w tej króliczej norze bez pani Klaudii Kolar.

Na lekcjach matematyki u pani Kolar zawsze panował porządek, były zasady, których należało przestrzegać i (zazwyczaj) się ich trzymaliśmy. Jednocześnie pani Kolar swoją pasją i energią, z którą podchodziła do prowadzenia zajęć, sprawiała, że ten specyficzny świat liczb wcale nie był nudny. I nawet, jeśli czasami (to znaczy wcale nie tak rzadko) czegoś nie rozumieliśmy, to był to tylko pretekst do tego, aby na dane zadanie spojrzeć z nieco innej strony. Dzięki temu w zasadzie pierwszy raz podczas wszystkich lat edukacji mogłam powiedzieć, że lubię lekcje matematyki (może nie samą matematykę, ale zajęcia jak najbardziej). W końcu dla pani Kolar nie liczyło się tylko poprawne rozwiązywanie równań, liczyliśmy się my, uczniowie, z którymi chciała nawiązywać relacje i to takie, których wynik był zawsze dodatni.

Mówi się, że to głównie poloniści zajmują się takimi sprawami jak wycieczki do kina czy teatru. Jednak nie zawsze. Pani Kolar w trzeciej klasie, kiedy zelżały już pandemiczne restrykcje, zabrała naszą klasę do kina na film *Aida*. Bo panią Kolar oprócz matematyki interesowała także historia i literatura. Dla mnie to było nietypowe, a przecież rozmowa z matematyczką o książce lub filmie mogłaby być tak oczywista jak wzór na deltę. Chciałabym, by wszędzie tak właśnie było.

Angielski zawrót głowy

Wybierając klasę językową w liceum, wiedziałam, że angielski nie jest moją mocną stroną. Jednak chciałam dać sobie wyzwanie, motywację do nauki języka Orwella czy Virginii Woolf. I rzeczywiście mój plan się spełnił - poziom angielskiego w naszej klasie był naprawdę wysoki.

W pierwszej klasie grupę, do której chodziłam, uczył pan profesor Jacek Molęda. Pamiętam, że na początku nie wiedziałam, co się dzieje na lekcji, myślałam, że może zamiast

do liceum trafiłam na uniwersytet. Pan profesor mówił w zasadzie tylko po angielsku i to z akcentem, którego nie rozumiałam. Byłam bliska szukania jakiegoś wyjścia awaryjnego, przepisania się gdzieś indziej... Ale z każdym kolejnym tygodniem było coraz lepiej. Może nadal nie za bardzo chciałam się odzywać po angielsku, jednak zaczynałam więcej rozumieć. Z upływem czasu dostrzegłam, że profesor jest naprawdę ciekawym człowiekiem.

Profesor Molęda zawsze z kubkiem kawy wspinał się na trzecie piętro do naszej klasy. Miał swoje własne poczucie humoru – trochę ironiczne, na pewno niestandardowe – i jeszcze pisał wiersze. Widziałam w nim erudytę, który z sympatią podchodził do uczniów.

Z kolei w drugiej i trzeciej klasie naszą grupę z angielskiego zaczęła uczyć pani Sabina Kubiak. Można wiele powiedzieć o naszych lekcjach, ale mówiąc najprościej: na angielskim u pani Kubiak działo się wszystko. Uczestniczyliśmy w debatach oksfordzkich, wystawialiśmy akt *Romea i Julii* przepisany na współczesną angielszczyznę w szkolnym ogrodzie, nagrywaliśmy audiobook, tworzyliśmy reportaże telewizyjne... Słowem cuda i to jeszcze w asyście miliona tzw. *mini projektów*, i oczywiście *writingów*, *speakingów*, i rozwiązywania zadań z parafraz w grubym na kilkadziesiąt stron podręczniku. Żałuję jedynie, że podczas nauki w liceum tak bałam się mówić po angielsku, że nie mogłam w pełni cieszyć się z tych aktywności. Ale teraz na studiach polonistycznych, kiedy zdarza mi się na zajęciach czy w gronie studenckim dyskutować o różnych metodach nauczania, to zawsze opowiadam, że w liceum miałam taką anglistkę, która byłaby świetną metodyczką – jej pomysły na kolejne lekcje nigdy się nie kończyły i nigdy też nie przestały zaskakiwać.

W poszukiwaniu prawdziwych słów

Ernest Hemingway powiedział kiedyś: „Wszystko, co musisz zrobić, to napisać jedno prawdziwe zdanie. Napisz najprawdziwsze zdanie, jakie znasz”. Kiedy byłam w liceum, wiedziałam, że chcę pisać, stworzyć coś ze słów, co na tamten czas będzie dla mnie najprawdziwsze. Miałam ogromne szczęście, że trafiłam wtedy na nauczycieli, którzy pomogli mi rozwijać się w tym kierunku. Dzięki pani Joannie Gizowskiej-Kurek i panu Romanowi Szczasnemu mogłam wziąć udział w wielu konkursach literackich. To właśnie oni czytali moje (nierzadko) bardzo długie prace pełne rozbudowanych metafor i różnych konceptów artystycznych. Startowanie w tych konkursach było moim sposobem na spędzanie wolnego czasu i motywowanie się do pisania. Joan Didion mówiła, że wie, co myśli dopiero, kiedy to napisze. Coś podobnego i ja czułam, kiedy, w domu zamkniętym na cztery spusty przed groźnym światem pogrążonym w pandemii, siedziałam przed otwartym komputerem próbując nadać myślom kształty, które uważałam za prawdę. Dziękuję za tę szansę.

I LO dało mi także inną możliwość na rozwijanie moich polonistycznych zainteresowań. Miałam wielką przyjemność przez trzy lata prowadzić u boku pani Bogumiły Jankowskiej internetową gazetkę szkolną, *Ad operam!*. To była dla mnie dziennikarska szkoła życia. W ramach działalności w *Ad operam!* przeprowadzałam wywiady z nauczycielami i uczniami z I LO, publikowałam twórczość artystyczną społeczności „Kasprowicza”, pisałam różne artykuły... Nad tym wszystkim czuwała pani Jankowska, która imponowała mi swoją rozległą wiedzą, i zawsze wiedziała, w którym miejscu w danym tekście brakuje przecinka bądź też jakie fragmenty się zupełnie do niego nie nadają. Myślę, że tworzenie *Ad operam!* to jedno z moich najpiękniejszych licealnych wspomnień.

Poezja, sztuka i duch „Kasprowicza”

„Rozmłówała się ma dusza
W twórczych promieniach zórz,
Gdy druh mój, słońce, w świat wyrusza,
Życia płomienny stróż.”

Pisał Kasprowicz w *Księdze Ubogich*. Trudno o lepsze słowa, które mogłyby rozpocząć ten paragraf poświęcony twórczości artystycznej I LO. Bowiem w tych czterech wersach ukryty jest cały zachwyt nad światem – zachwyt wschodem słońca, który jest początkiem wielkiej wędrówki, przygody życia. Coś podobnego można powiedzieć o wielu uczniach pierwszego liceum, którzy właśnie w tej szkole rozbłysnęli najpiękniejszym blaskiem nowo odkrytych talentów.

Uwielbiałam artystyczną atmosferę „Kasprowicza”. Na szkolnych korytarzach wystawiane były prace uczniów z Liceum Sztuk Plastycznych; niejedna osoba próbowała wyrazić siebie w formie prozatorskiej bądź poetyckiej, a niektórzy uczniowie najlepiej czuli się, gdy zatapiali się w dźwiękach muzyki. Cała szkolna społeczność tworzyła mozaikę utalentowanych jednostek.

Nauczyciele w miarę możliwości tworzyli przestrzeń do rozwoju dla uzdolnionych uczniów. Na wielu poziomach można było „się pokazać” (jednym z takich miejsc był chociażby *Ad operam!*). Szczególnie jednak, jako jedną z takich inicjatyw, pamiętam wieczorek poetycki *U Kasprowicza*. Na ten jeden wieczór szkolna aula zamieniła się w poetycką kawiarnię – uczestnicy i słuchacze siedzieli przy stolikach przykrytych białymi obrusami, na których migotały zapalone świece; można było napić się kawy, herbaty

i skosztować ciast przygotowanych przez uczniów. Tak słuchało się poezji, być może nie tej „wielkiej”, ale za to takiej, która jest najbliższej.

Najważniejszym poetą, który dla mnie bezpośrednio łączy się z I LO, jest oczywiście patron szkoły, Jan Kasprowicz. Co prawda Kasprowicz nigdy nie chodził do naszego liceum (przez rok uczył się w dawnym gimnazjum niemieckim, obecnym budynku Zespołu Szkół Ekonomicznych), ale to właśnie I LO jakoś szczególnie dba o jego pamięć. Dla mnie, dzięki poznaniu jego historii i twórczość, Kasprowicz był żywy. W końcu wciąż może być inspirującym patronem, który zachęca by, jak on sam, przez kręte drogi nauki akademickiej dojść ostatecznie do „mojego świata”.

*

Czas już zakończyć te wspomnienia, powiedzieć ostatnie „dziękuję”. Dziękuję wszystkim, nauczycielom, kolegom i koleżankom, dzięki którym trzy lata spędzone w I LO pozostają dla mnie czasem niezapomnianym – momentem odkrywania siebie i nauki tego, co w życiu ważne.

Zdarza się, że ktoś, kto nigdy nie był w Raciborzu, pyta się mnie o liceum, do którego chodziłam. Wtedy (jak i przy innych okazjach) z dumą opowiadam o tym, jak to było u „Kasprowicza”...